

东

方

观

察

प्राच्यविद्या पत्रिका

مجلة الاستشراق

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE
PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

WARSZAWA

KWARTALNIK

3(119)

1981

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

- Barbara Grabowska, *Poetyka wisznuicka w liryce Gobindodasza* 213
Stanisław Piłaszewicz, *Obraz zderzenia kultur w prozie hausańskiej* 223
Danuta Madeyska, *Historia i legenda w „Siracie Zat-al-Himma”* 233

UTWORY LITERACKIE

- Ibn al-Mukaffa, *Opowieści* (z arabskiego przełożył Janusz Danecki) 247
Z tunguskiego Parnasu (przekład Jerzego Tulisowa) 251
Ahmad Mahmud, *W drodze* (z perskiego przełożyła Maria Nassalska) 255
Karim Misak, *Obrona* (z dari przełożył Bohdan Bielkiewicz) 259

MATERIAŁY I SPRAWOZDANIA

- Tadeusz Szparag, *O tradycyjnych chińskich planach strategicznych* 263
Zofia Józefowicz-Czabak, *Przemiany społeczno-kulturalne w perskiej poezji współczesnej* 268
Bożenna Chylińska, *Mit i rytuał a dramat* 275
Tomasz Federowicz, *Z problematyki rozwoju współczesnego języka hebrajskiego* 279
XXIV Zjazd Orientalistów Polskich 281

RECENZJE

Z KSIĄŻEK

- Joanna Mantel-Niecko, *The Role of Land Tenure in the System of Ethiopian Imperial Government in Modern Times* (Stanisław Piłaszewicz) 287
Masayoshi Ohira, *Brush Strokes. Moments from my Life* (Ewa Pałasz-Rutkowska) 288
J. I. Crump, *Chan-Kuo Ts'e* (Mieczysław J. Künstler) 292
NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE 292
Z CZASOPISM 295

KRONIKA

- Z ruchu naukowego na polu orientalistyki
Wizyty zagranicznych uczonych w Polsce 303
Kronika naukowa 303
Działalność PTO 306
Kronika kulturalna 306
Stosunki Polski ze Wschodem 307

*

- Omar Chajjam, *Rubajjaty* (z perskiego przełożyła Barbara Majewska) 222, 232

IBN AL-MUKAFFA

OPOWIEŚCI

Abd Allah Ibn al-Mukaffa (724—757) był z pochodzenia Persem, jego prawdziwe nazwisko brzmiało Ruzbah syn Dadoe. Natomiast arabskie przezwisko Ibn al-Mukaffa przejął po ojcu, który miał uschniętą rękę (*mukaffa*). Ibn al-Mukaffa całe niemal życie spędził w Basrze, jednym z największych ośrodków kulturalnych imperium muzułmańskiego. Tu też wykonano na nim wyrok śmierci prawdopodobnie z rozkazu kalifa Al-Mansura. Przypuszcza się, że zginął za swoje przekonania religijne i poglądy polityczne, które wyrażał w korespondencji prowadzonej w imieniu miejscowych możnowładców.

Swoje doświadczenia w zakresie pracy sekretarza (*katiba*) zawarł w kilku dziełach, takich jak *Al-Adab al-kabir* (*Wielka etyka*) czy *Risalat as-sahaba* (*Esej o przyjaciółach*).

Najważniejszym jednak dla literatury arabskiej dziełem Ibn al-Mukaffy był przekład perskiej wersji *Pańczatantry* na arabski. *Kalila i Dimna*, bo taki tytuł nosił ten przekład, legła u podstaw arabskiej prozy artystycznej; jest to pierwszy w literaturze arabskiej utwór pisany prozą. Swoje tłumaczenie Ibn al-Mukaffa uzupełnił kilkoma rozdziałami, w których przedstawił dzieje wędrówki Pańczatantry z Indii do Persji, wyłożył swoje poglądy na temat religii i jednego z bohaterów książki — szakala Dimnę — postawił przed sądem. W rezultacie podkreślił polityczny wydźwięk owych bajek przeznaczonych dla młodych władców.

Kalila i Dimna pozostała jednak zbiorem bajek, opowieści i historyjek, które przez tysiąclecia bawiły ludzi. Nic więc dziwnego, że przekładano ją kilkaset razy na kilkadziesiąt języków; w ten sposób *Kalila i Dimna* stała się jedną z najpopularniejszych książek na świecie.

Prezentowane tu dwie opowiadania pochodzą z pełnego, nieekspurgowanego wydania kairskiego *Kalily i Dimny* (1941).

J.D.

OPOWIEŚĆ O KOBIECIE I NIEWOLNIKU

W Kaszmirze było miasto Barod. Mieszkał tam kupiec imieniem Kabirag, który miał piękną żonę i sąsiada malarza. Sąsiad był kochankiem żony Kabiraga. Któregoś dnia, gdy malarz przyszedł do żony kupca, ta powiedziała:

— Wymyśl jakiś znak, którym w nocy będziesz mnie zawiadamiał o tym, że chcesz przyjść. Nie może to być wołanie, ani rzucanie kamieniem; powinno to być coś, co nie wzbudzi niczyich podejrzeń, a dla nas będzie bardzo przydatne.

— Już wiem — odparł malarz — najlepszy będzie nakrapiany płaszcz, jasny jak światło księżycy, z kropkami czarnymi jak źrenice oczu. Kiedy go zobaczysz — wyjdź. Niechaj on będzie naszym znakiem.

Kobiecie spodobał się pomysł, więc nań przystała. Odtąd malarz przychodził w swoim płaszczu, kiedy tylko zechciał.

Ale rozmowę o tajemnym znaku podsłuchiwał niewolnik kupca, który był kochankiem służebnej malarza. Poprosił on służebną, by pożyczyła mu nakrapiany płaszcz, przyrzekając, że pokaże go tylko swojemu przyjacielowi i zaraz potem zwróci. Akurat w tym czasie malarz był nieobecny, udał się bowiem do pałacu królewskiego. Służebna dała niewolnikowi płaszcz niczego nie podejrzewając. Niewolnik przebrał się i poszedł nocą do swojej pani, a ona przyjęła go tak, jak zazwyczaj przyjmowała swojego kochanka i niczego nie podejrzewając pozwoliła mu na wszystko. Potem niewolnik oddał służącej płaszcz, która odłożyła go na miejsce. Późną nocą malarz wrócił do domu, włożył płaszcz i udał się do kobiety. Ta, kiedy go zobaczyła, podeszła ze słowami:

— Cóż się stało? Wracasz tak szybko? Przecież przed chwilą wyszedłeś ode mnie?

Skoro kochanek usłyszał te słowa, domyślił się, że go oszukano. Bez wahania poszedł do swojej służebnej i zbił ją. A ona opowiedziała mu wtedy jak to było. Malarz wziął więc płaszcz, podarł go i spalił.

OPOWIEŚĆ O ZARZĄDCY, JEGO ŻONIE I O SOKOLNIKU

Powiadają, że zarządca miasta Farawat miał piękną i mądrą żonę. Miał też sokolnika, który kochał się w jego żonie i z uporem zabiegał o jej względy. Ona jednak nie zwracała na to uwagi. Postanowił więc okryć ją hańbą. Pewnego dnia podczas polowania złowił dwie młode papugi. Zbudował dla nich klatkę, a potem jedną z nich nauczył mówić: „Widziałam, jak odźwierny spał z moją panią”, drugą zaś: „A ja nic nie będę mówiła”. Papużki nauczyły się tych zdań w języku balchijskim, którego nikt w owym kraju nie znał. Któregoś dnia, gdy zarządca siedział przy winie, sokolnik przyniósł mu papużki. Ptaki wykrzykiwały swoje zdania. Zarządcy spodobały się słowa powtarzane przez papużki, choć nic z tego nie rozumiał. Kazał żonie zaopiekować się nimi, a sokolnika pochwalił i wynagrodził. Papużki przebywały w jego domu przez jakiś czas. Pewnego razu przyjechali dostojnicy z Balchu. Przygotowano dla nich jedzenie i napoje, a kiedy już się nasycili, zarządca pragnąc zadziwić swoich gości, kazał przynieść papużki. Ptaki przemówiły. Kiedy dostojnicy balchijscy usłyszeli papuzi krzyk, spojrzeli po sobie i zawstydzeni opuścili głowy. A potem rzekli:

— Czy wiesz co one mówią?

— Nie — odparł zarządca — choć bardzo mi się to podoba.

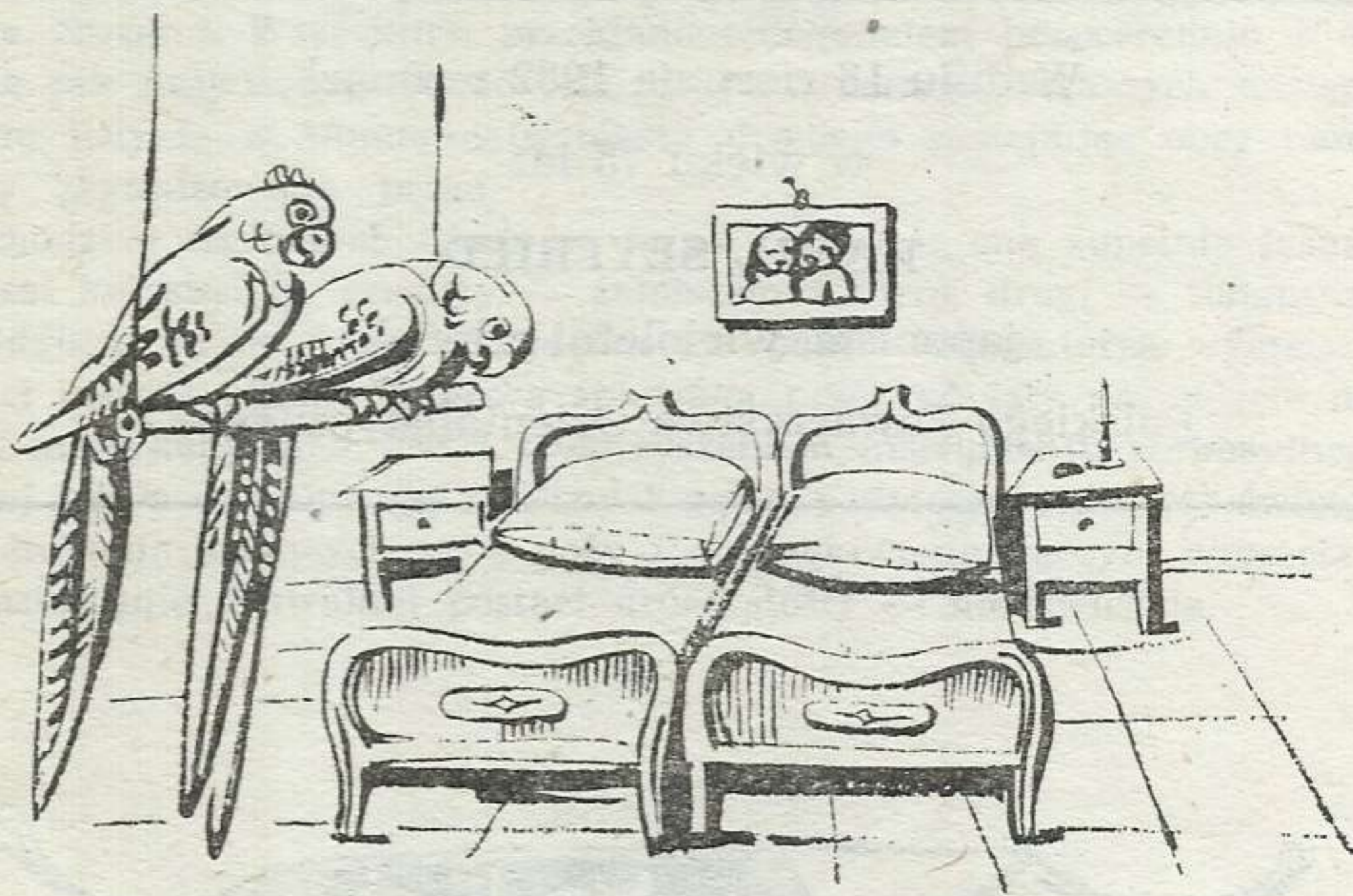
Wówczas jeden z Balchijczyków powiedział:

— Nie gniewaj się na nas, że ci o tym powiemy. Jedna z nich powiedziała w języku balchijskim, że odźwierny cudzołoży z twoją żoną. Druga natomiast mówi; „A ja nic nie powiem”. My zaś nie możemy przebywać w domu człowieka, którego żona jest cudzołożnicą.

Wtedy sokolnik zawołał z podwórza:

— O, to co powiedziały papużki jest prawdą, sam widziałem nie raz.

Zarządca kazał zabić swoją żonę. Ale ona prosiła go, by zechciał sprawdzić to, co mu powiedziano i wyjaśnić, kto jest naprawdę cudzołożnikiem i kłamcą.



— Każ owym dostojnikom — powiedziała — żeby porozmawiali z papużkami i przekonali się, czy umieją coś więcej po balchijsku niż te dwa zdania. A wtedy zrozumiesz, iż nauczył je tego sokolnik, który chciał się zemścić za to, że nie zostałam jego kochanką.

Uczynili, jak powiedziała. Okazało się, że papużki nie potrafią niczego poza tymi dwoma zdaniem. Przekonali się, że nauczył je tego sokolnik. Zarządca posłał po niego. Kiedy nadszedł z sokołem w ręku, kobieta rzekła doń:

— Biada ci! Czy widziałeś to co mi zarzucasz?

— Tak — odpowiedział.

A wtedy sokół zerwał się i dziobem wyłupił mu oko.

Kobieta rzekła:

— Bóg przyspieszył karę za twoje kłamstwo. Twierdzisz, że byłeś świadkiem czegoś, czego nie widziałeś i zarzucasz mi rzeczy fałszywe i niezgodne z prawdą.

Z arabskiego przełożył

Janusz Danecki

W dniu 18 sierpnia 1982 r. zmarł

w wieku 75 lat

KAMIL SEYFRIED

japonista, wieloletni członek

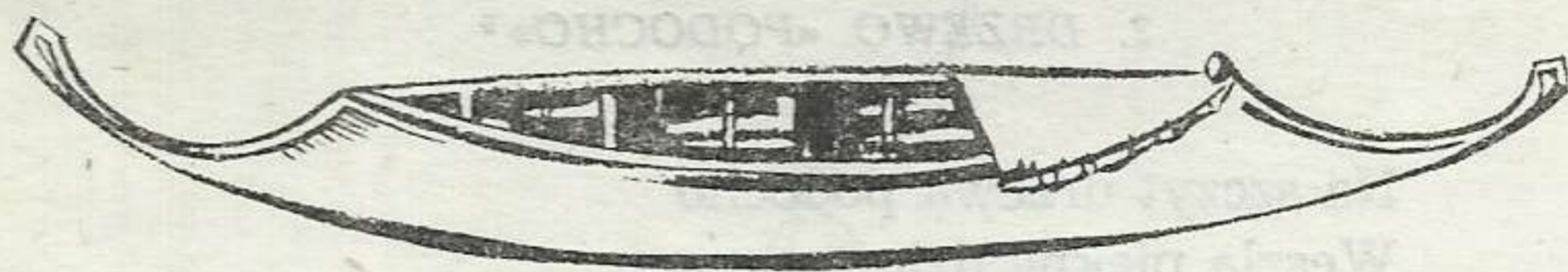
Polskiego Towarzystwa Orientalistycznego.

Z TUNGUSKIEGO PARNASU

Utwory, których przekład zamieszczam, stanowią małą próbkę twórczości poetyckiej ludów południowotunguskich. Dwa z nich (1 i 3) reprezentują folklor Oroców¹, jeden (2) — Ulczów², jeden zaś (4) jest urywkiem mandżurskiej legendy o szamance Niszan³. Wszystkich przekładów dokonałem bezpośrednio z oryginału starając się jak najwierniej oddać jego ducha i formę. Większych odstępstw dopuściłem się jedynie w tłumaczeniu tekstu drugiego zastępując obcy nam wiersz aliterowany zrytmizowaną prozą.

Jeśli chodzi o treść tych utworów to na ogół jest ona zupełnie jasna. Utwór pierwszy jest kołysanką, czwarty — żałobnym trenem, drugi — tunguską wersją piosenki *Gdybym to ja miała skrzydełka jak gaska*. Komentarza wymaga jedynie utwór trzeci będący pieśnią kultową śpiewaną przez kobiety na święcie niedźwiedzia. Pieśń ta wykonywana jest z towarzyszeniem instrumentu perkusyjnego *udžadżinki*, a jej słowa odmalowują radosny i pełen podniecenia nastrój święta. Mamy tu więc i stukanie krojących rybę noży i pobrzękiwanie naczyń, wreszcie smakowite pomlaskiwanie centralnej postaci uroczystości — niedźwiedzia.

J.T.



1. KOŁYSANKA⁴

Śpij, bo przyjdzie wrona	baj-baj,
Śpij, bo przyjdzie ptaszek	baj-baj,
Pośpij jeszcze trochę	baj-baj,
Mama ma robotę	baj-baj,

¹ W. A. Awronin, E. P. Lebediewa, *Orocskie teksty i słowar*, Leningrad 1978, s. 95—96.

² A. Smoljak, *Ulcz*, Moskwa 1966, s. 136—137.

³ *Niszan samani bitche (Priedanie o niszanskiej szamankie)*. Wyd. M. P. Wołkovej, Moskwa 1961, s. 30—31.

⁴ Wszystkie tytuły pochodzą ode mnie (J.T.).

Tata tropi łosia	baj-baj,
Pracy będzie dużo	baj-baj,
Szybko zaśnij, synku	baj-baj,
Śpij, bo przyjdzie sówka ⁵	baj-baj,
Jeszcze ci co zrobi	baj-baj,
Leśny duch usłyszy	baj-baj,
Przestań synku płakać	baj-baj,
Cyt, bo przyjdzie amba ⁶	baj-baj,
Przestań synku płakać	baj-baj,
Rysiowe kosteczki ⁷	baj-baj,
W głowach zawiesiłam	baj-baj,
Rybimi skórami	baj-baj,
Ciepło otuliłam	baj-baj,
Ciasno obwiązałam	baj-baj,
Kiedy będziesz duży	baj-baj,
Będziesz łowił ryby	baj-baj,
Będziesz tropił łosie	baj-baj,
Szybko synku rośnij	baj-baj,
Kołysankę śpiewam	baj-baj,
Syneczka kołyszę	baj-baj...

2. DRZEWO «PODOCHO» ⁸

Na szczyt drzewa podocho
 Weszła piękna dziewczyna.
 W górę rzeki spoziera
 Tam gdzie ujście Soloru.
 Spoglądając w dół rzeki
 Widzi ujście Amgunu,
 Spoglądając na zachód
 Widzi morze zachodnie,
 A jak na wschód spoziera ⁹
 Morze wschodnie ogląda.
 „Za mym smukłym chłopakiem
 Tęsknię sama w oddali.
 Spoza urwisk ku niemu

⁵ W tekście mowa o sówce-kukielce, drewnianej zabawce lub amulecie zawieszonym nad kołyską.

⁶ Zły duch albo tygrys.

⁷ Kości te pełnią funkcję amuletów.

⁸ Albo wierzba albo mityczne drzewo niebiańskie.

⁹ Wers rekonstruowany, w oryginale nie występuje.

Ręce swoje wyciągam.
 Ach, być ptakiem skrzydlatym
 I móc za nim polecieć ¹⁰!
 Albo łosiem być rączym
 I móc pobiec ku niemu!
 Ach, być małym drewnikiem
 I móc z prądem połynać...”.

3. KUENGERE ¹¹

Kruk — tok-tok, wrona — tok-tok.
 Drobnio siekam rybę — stuk, stuk, stuk.
 Brzęk, brzęk, — stuk, stuk, stuk.
 Ofiara dla limanu w ujściu rzeki!
 Ofiara z poziomek i korzonków!
 Mlask, mlask — łyk.
 Kuengere, kuengere, kuen-ge-re!
 I łapami — kuengere!
 Pazurami — küengere!



4. LAMENT OJCA NAD ZMARŁYM SYNEM

Sergudaju Fjangu!	ara! ¹²
Chłopczyno mój luby,	ara!
Coś mi się narodził	ara!
Gdym lat miał pięćdziesiąt!	ara!
Kiedym cię synku ujrzał	ara!
Jakżem się uradował!	ara!
Tymi wszystkimi końmi,	ara!
Stadami owiec i bydła	ara!
Kto będzie władał?	ara!

¹⁰ Dosłownie: „gdybym była latającym ptakiem, poleciałabym”. W podobny sposób są skonstruowane również i dalsze wersy.

¹¹ Przyśpiewka towarzysząca grze na *udżadżinki*.

¹² Sergudaj Fjangu (Sergudai Fiyanggu) — imię zmarłego. *Ara* — okrzyk żalu lub bólu

W moim dostojnym paniczu,	ara!
W jego rozumie i wiedzy	ara!
Tylem nadziei pokładał!	ara!
Tych wierzchowych mierzynów	ara!
Jaki panicz dosiędzie?	ara!
Są tu słudzy i służki	ara!
Ale jaki gospodarz	ara!
Będzie im rozkazywał?	ara!
Są sokoły myśliwskie	ara!
Ale jakież to dziecię	ara!
Je na ramię posadzi?	ara!
Są psy maści pstrokatej	ara!
Ale jakież to dzieci	ara!
Je na łowy powiodą?	ara!

Przekład Jerzego Tulisowa



AHMAD MAHMUD

W DRODZE

W oddali Doulatabad drżał w rozgrzanym powietrzu. Zdawało się, że mury i domy unoszą się nad ziemią. Wysoka wieża wentylacyjna ośrodka zdrowia jak żywa wyginała się na wszystkie strony.

Wiatr gnał górą, drzewa zaś wyciągały gałęzie, próbując go dosięgnąć swymi delikatnymi dłońmi.

Szosa miała barwę ołowiu, dalej przechodziła w łagodną biel drewna. Walące się szalasy, przycupnięte tu i ówdzie na pustyni, uciekały wzdłuż drogi. Za motocyklem wzbijały się kłęby kurzu. Metaliczny warkot silnika obco brzmiał na pustyni.

Na zboczu niewysokiego pagórka koła zabuksowały w sypkim piasku. Wiatr spłynął na pustynię znad drzew przydrożnych i wzniosł chmurę pyłu. Zahamowałem i włożyłem okulary ochronne. Pustynia pociemniała. Zjechałem ze wzniesienia. Z daleka dostrzegłem sylwetkę mężczyzny, który wyłonił się z cienia drzewa i podniósł rękę. Podjechałem bliżej i zatrzymałem się.

— Jedziesz do Doulatabadu? — zapytał.

— Jadę.

— Weźmiesz mnie z sobą?

— Wskakuj.

Podciągnął nogawki szarawarów i usiadł na tylnym siodełku. Motor ruszył gwałtownie.

Twarz mężczyzny utkwiała mi w pamięci; oczy podłużne, wąskie i głębokie niby bruzdy na chłopskich nogach, wypukłe czoło, włosy jak stary wołok... nie pamiętam dokładnie, ale włosy chyba wyrastały mu tuż nad brwiami. Był ogorzały. Ust w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć.

Widziałem go właściwie tylko przez chwilę, gdy stał na poboczu. Raczej krępy, w szerokich szarawarach z czarnej satyny, w białej przybrudzonej koszuli. Na piersi spod rozpiętego kołnierzyka sterczały siwe włosy... ale jakie miał usta?

— Jak się nazywasz? — spytałem.

Wiatr porwał moje słowa. Poszarpał wyrazy i cisnął mimo uszu mężczyzny tak, że ten nie zrozumiał, o co pytałem.

Powtórzyłem:

— Jak się nazywasz?

Zbliżył usta do mojego ucha i krzyknął:

— Co mówiłeś?

— Pytałem jak się nazywasz.

— Jak ja się nazywam?

— No?

— Mustan.

Wciąż nie pamiętałem, jak wyglądały jego usta. Wyobrażałem sobie, że powinny być duże i szerokie, ze spękanyymi, stwardniałymi wargami.

Szosa była teraz gliniastą drogą, która za zakrętem zagłębiała się w szerokim wąwozie. Nasze głowy znalazły się w cieniu — jechaliśmy wzdłuż stromej, spadzistej ściany. Nagle motor podskoczył na wyboju, rzuciło nas i usłyszałem jęk Mustana.

— Co ci? — spytałem.

Nie usłyszał. Warkot motoru biegł tuż przed nami wzdłuż wąwozu. Słońce lało się z góry jasno oświetlając prawą jego ścianę, a nierówne dno z daleka zdawało się dwubarwne: cytrynowo-żółte i żółtoszare.

Powtórzyłem:

— Co się stało? — wiatr wypełnił mi usta.

— Brzuch.

Zahamowałem, zsiadłem z motoru i przyjrzałem się jego ustom — miał zajęczką wargę. I zaropiałe kąciki oczu.

— Co z brzuchem?

— Boli nad pępkiem.

— I dlatego jedziesz do Doulatabadu?

— Jadę, żeby doktor zobaczył, co mi jest.

— Dawno ci to dokucza?

— O, dawno, od dziecka, to stary ból.

Szary jak ziemia skowronek śmignął w locie, przysiadł na drodze kiwając ogonkiem, potem odfrunął. Do mych uszu uwolnionych wreszcie od warkotu silnika dotarł szelest suchych krzaków pustynnych. Nad głową mężczyzny wyciągając szyje przeleciały z ciężkim łopotem skrzydeł dwa dropie. Utkwiły mi w oczach kropki na ich brzuchach i skrzydła, które w słońcu wyglądały jak z żółtego, lśniącego jedwabiu.

— Silnik się popsuł? — spytał Mustan.

— Nie.

— No to czemu nie jedziemy?... Muszę szybko wracać do ogrodu.

— Wsiadaj.

Za wąwozem solankowa ziemia lśniła bielą. Niedaleko wznosiła się trąba powietrzna wzbijając tuman kurzu. A za słupem pyłu widać było Doulatabad, którego ściany i domy stały już teraz na ziemi, a wysoki wentylator ośrodka zdrowia sterczał nieruchomo na tle nieba.

- Z jakiej wsi jesteś? — spytałem Mustana.
- Z Mula.
- Jak z plonami w tym roku?
- Bóg zapłać, nieźle.

Potem się rozgadał. Wiatr chwycił jego słowa, które trzepocząc wpa-
dały mi do uszu.

— ...Maszyna była w polu... sadziliśmy arbuzy... ból chwycił... nad
pępkiem, powiadam... zmogło mnie... powiedziałem: pojedę do ośrodka...
sadziliśmy mechanicznie... w tym roku urodzaj... — i mówił dalej, a mnie
wiatr świszczął w uszach. Słona ziemia umykała wślizgując się pod pysk
motoru. Niebo miało kolor ołowiu, lekko zamglone z czerwonymi i żół-
tymi żyłkami. Blask słońca zalewał pustynię pozbawioną skrawka cienia.

Słowa mężczyzny brzmiały mi w uszach. Już wiedziałem, że ma
dwóch synów i córkę, że „wcześniej, gdy jadł śniadanie w szałasie” nagle
chwycił go ból, zresztą to stara dolegliwość, i że tym razem nie wy-
trzymał i wybrał się do ośrodka. „...ot, po prostu; zostawiłem nakrycie
na ziemi, czajnik na palenisku... poszedłem. Maszyna była w polu... gdy
wróciłem... lekarstwa, które wziąłem... żona w ciąży”..., a jego żona, która
była w ciąży niepokoiła się. Łączyłem strzępy słów rozrywane przez
wiatr i wiedziałem już, że chce posłać dziecko do szkoły w Anbaraba-
dzie, że dochody z tegorocznych plonów nie wyrównują zeszłorocznych
strat „zeszły rok był nieurodzajny, czarny i suchy...”, a w tym roku gdy
wykopali studnię, dzięki Bogu jest lepiej. Żądła spragnionych rur żelaz-
nych jak pijawki ssały z żył ziemi... ludzie, którzy całe życie musieli
płacić za wodę, wreszcie zaznali ulgi...

Żółty tuman, który włókł się po ziemi sypnął mi nagle w twarz go-
rącym piaskiem. Zahamowałem. Mustan spytał:

- Co się stało?
- A nic.
- Zmęczyłeś się?

Zsiadłem z motoru, Mustan też. Postawiłem motor na nóżkach i prze-
tarłem okulary. Znowu zapytał:

- Zmęczyłeś się?
- Nie.
- Maszyna stoi w polu.
- Niech stoi.
- Idę się odlać.

Odszedł nieco od szosy, podciągnął nogawki szarawarów i przykucnął
przy niewielkim pagórku.

Zostawiłem motor i poszedłem usiąść w cieniu starego drzewa przy
drodze. Jeszcze mój cień nie zdążył się wtopić w cień drzewa, gdy usły-
szałem jęk Mustana. Był do mnie odwrócony plecami. Raptem podsko-
czył jak piłka i zwałił się na ziemię.

Podbiegłem.

— Co się stało? — przykucnąłem przy jego głowie.

— Żmija! — żmija ukąsiła go w stopę.

— Pali mnie. Umieram.



Kiedy do niego podbiegłem, już był siny, język miał wysunięty jak u spragnionego psa. Zanim przy nim usiadłem, już krew kipiała mu z dziąseł. Bałem się wziąć go za rękę, ująć pod plecy i posadzić. Zupełnie jakby jego wargi stały się żądłem żmii.

— Cierpię — nie powiedział, lecz wyszcząkał. — Cierpię, zrób coś, pali mnie wątroba!

— Co mam zrobić, Mustanie?

Jego głos drżał:

— Ośrodek.

Chwyciłem go pod pachy, spróbowałem podnieść. Ciężki był jak ołów. Wlokłem go po ziemi razem z czepiającymi się roślinami, wreszcie oparłem o pień drzewa.

— Jak ci, Mustan?

Nie odpowiedział. Charczał.

— Mustan! — krzyknąłem i potrząsnąłem nim.

Krew sączyła się z jego dziąseł i zasychała na kremowobiałych wargach. Piana ciekła z rżęącego gardła. Dłużej nie mogłem na to patrzeć. Odwróciłem wzrok na pustynię, gdzie było słońce i słona ziemia i wrosnięte w ziemię mury Doulatabadu i... wiatr, który wirował, krążył i znów atakował.

Z perskiego przełożyła
Maria Nassalska

KARIM MISAK

OBRONA

Karim Misak, urodzony w roku 1937 w Hazara z okolic Ghazni, jest przedstawicielem afgańskiego realizmu. Początkowo nowele jego drukowane były w tygodnikach („Żwadun”, „Pasztun Żagh”) i do roku 1978 wydał zaledwie dwa zbiorki: *Labchand-e madar (Uśmiech matki)* i *Haft kessa (Siedem opowiadań)*. Po roku 1978 piastował stanowisko ministra finansów, co ułatwiło mu wydanie obszernego zbioru zatytułowanego *Rah-e sabz (Zielona droga)*, w którym — niestety — dostrzegalna jest prawidłowość przechodzenia jakości w ilość.

B.B.

Była zimowa noc. Już trzecią dobę żona sąsiada zawodziła w bólach porodowych. Wszystkich sąsiadów niepokoiły rozdzierające krzyki. Farszidowi — choć bardzo się starał — nie udawało się nie słyszeć tych jęków. Nie widząc wyjścia zamknął książkę i schronił się w łóżku. Jednak i tam dopadały go jęki rodzącej, a gdy tylko zamykał powieki paliły go jak zatruta strzała, raniły duszę i nie pozwalały zasnąć. Nie wytrzymał. Wstał i ubrał się. Matka zapytała:

— Cóż to? Dokąd to idziesz o północy?

Czując w jej głosie dobroć i współczucie, odpowiedział:

— Po doktora! W końcu ta kobieta jest przecież człowiekiem, człowiekiem cierpiącym, chorym. Trzeba jej pomóc, pomóc!

Matka, dobrze rozumiejąca męczące bóle rodzenia, nie powiedziała niczego, a on zrozumiawszy milczenie jako aprobatę wyszedł i z pośpiechem kroczył w kierunku domu lekarza. Trzask lodu pod nogami przełamany przerażającą ciszą ciemnej nocy. Mroźny, kłujący wiatr palił głowę i twarz i wciskał mu w uszy błagalny głos żony sąsiada. I mimo iż wtulał uszy w kołnierz płaszcza wiatr owiewał mu ich koniuszki niosąc z sobą żalostny płacz kobiety. Wprawdzie krzyki te ginęły czasami w szczekaniu psów, jednak wkrótce dobiegały go, dźwięczały znów i zadawały męki.

W godzinę później, drżąc z zimna, w towarzystwie doktora, stukał do drzwi sąsiada. Nikt nie odpowiadał. Słysząc było przejmujący głos kobiety:

— O boże, ulituj się nad moim stanem, płonę, palę się! O muzułmanie, pomóżcie, przyjdźcie na moje wołanie, na boga, przyjdźcie na moje wołanie! — błagała tak i krzyczała na przemian.

Czasem głos cichł, czasem wznosił się wyżej i wyżej, chwilami przechodził w krzyk, krzyk bardzo głośny i płaczliwy.

Farszid uderzał w drzwi z coraz większą złością. Wreszcie zza drzwi ktoś zapytał:

— Kto tam?

— Swój.

Zabrzączał łańcuch, drzwi się otworzyły i w świetle zawieszanej nad drzwiami latarni ukazał się człowiek średniego wzrostu, o krótkiej grubej szyi, z długą czarną brodą, wąskimi oczyma, płaskim nosem, żółtymi zębami i wielkim brzuchem. Ubrany był w biały brudny turban, lnianą koszulę i szarawary oraz pstrokatą kurtkę. Ze zdziwieniem spojrzawszy na Farszida i lekarza rzekł:

— Do kogo macie sprawę?

Farszid, postąpiwszy krok naprzód, powiedział z szacunkiem:

— Jestem jednym z pańskich sąsiadów. Przyprowaździłem lekarza dla pańskiej żony.

Tamten zamamrotał coś pod nosem, po czym cicho powiedział:

— Znam cię, znam cię.

Więcej nie powiedział niczego. Wypluł tytoń, zawrócił milcząc i zamknął drzwi. Zgodnie z ogólnie przyjętym zwyczajem Farszid i lekarz zostali oczekując jego powrotu. Jęki kobiety wciąż tak samo docierały do ich uszu. Szczękając z zimna zębami płonęli w ogniu oczekiwania. Jednak drzwi jak były zamknięte, tak zamknięte pozostały.

Farszid zastukał po raz wtóry. Odpowiedzi nie było. Słyszało się tylko coraz bardziej dotkliwe i rozdzierające duszę krzyki kobiety. Doktor, którego miarka cierpliwości przebrała się, silnie zabrzączał łańcuchem drzwi i kopnął je. Wtedy wychyliły się czujne głowy sąsiadów. Widząc, że Farszid jest z doktorem sąsiedzi ucieszyli się i zaczęli się schodzić pod drzwiami. Po kolei kołatali do drzwi, aż wreszcie rozległ się głos.

— Idźcie, idźcie! Doktor nie jest potrzebny! Nie pozwolę, by oko obcego zbeszcześciło kobiecie honor!

Usłyszawszy te słowa wszyscy ze zdziwieniem popatrzyli na siebie.

Ktoś rąbnął w drzwi i półżartem pogroził:

— Otwórz, otwórz! Bo jak nie, to wyłamiemy drzwi!

Tamten ze środka odpowiedział:

— Dobra, poczekajcie, poczekajcie, zaraz otworzę!

Wkrótce drzwi otworzyły się. Stał w nich mężczyzna z toporem w ręku i powiedział tonem gniewnym i wyzywającym:

— No i jestem. Chciałbym zobaczyć tego, który zbliży się do mego domu. Nie sądzicie, że jestem jakiś bezwstydnik i tchórz. Rozumiecie czy nie? To jest sprawa wstydu i dobrego imienia kobiety, wstydu i imienia. Oddalcie się, oddalcie, bo jak nie, to tym toporem bronić będę mego honoru... Tym toporem!

Po czym kilka razy potrząsnął toporem i zamachał nim. Wszyscy w milczeniu podjęli decyzję i bez słowa, w paraliżującym zimnie i groźnej ciemności rozeszli się i podążyli w kierunku światła.

*

Nazajutrz ucichły krzyki kobiety. Jeden z uczestników pogrzebu mówił z bólem i żalem do męża, stojącego nad grobem ze szczególną powagą:

— Hadzi seb! Obyś żył ty, oby żyli ci, którzy zostali przy życiu...

Z dari przełożył
Bohdan Bielkiewicz